

Na początek...

Życie polega na chodzeniu, a do przejścia każdy z nas ma wiele. W pewnych chwilach wydaje się, że błądzimy i kto wie może tak właśnie jest, a może właśnie jesteśmy tam gdzie być powinniśmy. Uczymy się rzeczy, które musimy pojąć by móc pójść jeden krok dalej. Generalnie jest tak, że aby żyć należy iść, a żeby iść to trzeba wiedzieć gdzie i to chyba właśnie o tym jest ta opowieść...

Dziś gdy leżę, gdzie jestem...

*

Z niewielkich szparek zrobiły się coraz większe. Z początku niewyraźne obrazy zaczęły stawać się coraz ostrzej dostrzegalne tak, że w końcu nie było problemem rozpoznać, że to co nade mną wisi to gałąź, a nad nią następna i kolejna, aż po sam szczyt. Było coś jeszcze, między nimi mieniły się gwiazdy, jak małe latarki zawieszane gdzieś na nieboskłonie skierowane prosto w moje oczy, choć tak naprawdę nie tylko ja je widzę. Zawsze lubię to robić, gdy się przebudzę w nocy – spoglądać w niebo. Patrzę na nie dość obojętnie myśląc, że i tak nic innego nie ujrzę, a one jedna po drugiej mruga do mnie, jakby chciały przekazać coś nadając Mors'em. Potrafię spędzić tak nawet kilka godzin. Czasem jednak jedynym czego pragnę to ponownie zasnąć. Jest coś co powoduje, że wyrwany ze snu nie potrafię ponownie wrócić w jego łono. Gdy dłużej patrzę w niebo po kilku minutach dostrzegam spokój i ten sam spokój zaczyna opanowywać moje niepewne wnętrza. To wyciszenie daje mi pewność, że niebo jeszcze się nie zawala, a ja mogę dalej beztrudnie spać. Trzeba przyznać, że nigdy nie mam problemów ze snem. Pewnie i teraz chwilę pogapię się w niebo i zasnę. Jedno jest pewne, dzisiejsza noc jest śliczna, tak cicha i spokojna. Niebo jest czyste po prostu zero chmur, choć tego akurat trochę żałuję, bo lubię, jak co jakiś czas po granatowym tle przesunie się, jakiś niekształtny obłok. To dodaje urozmaicenia choć z innej strony to chyba powoduje, że dłużej znów zasypiam, zastanawiając się nad tym co może dany kształt wyrażać lub czy za tą chmurą mogą iść następne, a to oznacza, że będzie deszcz, a jeśli tak to trzeba schować. Dziś jednak niebo jest czyste, a więc nie ma powodów do dodatkowych rozmyślań.

- Kurcze co ty się tak Mietek kręcisz, co? – powiedziałem trochę podenerwowany.

Mietek to mój kudłaty przyjaciel. Gdy zwróciłem mu uwagę podniósł głowę i spojrzał na mnie kiwając nią na lewo i prawo, jakby chciał sprawdzić, czy z lewej strony lepiej mnie zrozumie, a później tak samo z prawej. Jego zaspane oczy stawały się coraz wyraźniejsze, choć nadal nie zdawał się rozumieć o co mi może chodzić. Powiedziałem spokojnie:

- No dobrze śpij już śpij rozumiem, że podobnie jak ja wyrwałeś się ze snu i teraz starasz się jakoś do niego wrócić.

Pies słysząc mój łagodny głos położył głowę na mojej łydce i zamknął spokojnie swoje ciepłe, brązowe

oczy. Mietek jest ze mną już chyba trzeci rok. Znalazłem go jak był szczeniakiem. Był taki, jak to najlepiej określić? Była taki przerażająco bury i to był powód dla jakiego został pozostawiony przez ludzi na pastwę losu. Szczerze mówiąc mnie w nim właśnie ta burość i zwykłość urzekła. Chyba trochę przypomniał mi mnie samego. W każdym razie odkąd pamiętam jest ze mną. Cieszy mnie to bardzo, bo jest kimś z kim mogę zawsze pogadać, a raczej kimś do kogo mogę mówić, bo tak naprawdę zwierzak ten może mi jedynie zaoferować, jako odpowiedź swoje mądre spojrzenie. Czasem jednak właśnie tego mi potrzeba, by ktoś był przy mnie i wysłuchał tego co mówię. Mietek zaczął równo oddychać, a więc chyba zaczął już spa. Muszę uważać na swoje ruchy by biedaka znów nie zbudzić. Wystarczy, że jeden z nas cierpi na chwilową bezsenność. Czas chyba bym i ja znów zasnął. Dał odpocząć oczom, które dużo jak co dnia muszą się napatrzyć na cały ten świat mieniący się wieloma kolorami, które nie zawsze są widokiem przyjaznym dla nich, często je rażą, bądź ranią obrazami, które jak sztylety przebijają wodnistą strukturę oka i wbijają się prosto w umysł. Rany takie bez wątplenia powodują stan, w którym teraz się znajduję. Wpatruję się w gwiazdy, rozdarty między życiem, a snem, który też częścią życia. Czasem chciałbym posiadać możliwość tak po prostu odciąć dopływ myśli i oddać się ponownie w objęcia snu. Mam taki sposób choć on nie zawsze pomaga. Staram się zamknąć oczy i wyobrażać sobie czerń - taką zwykłą, pustą ciemność. W ten sztuczny sposób wyciszam i koncentruję się na niczym, tym samym daję szansę Morfeuszowi by mnie dopadł swoim pazurem i zniewolił. Dziś jednak nawet to nie pomaga. Nie wiem co się dzieje. Może nadeszły te dni kiedy przychodzi tysiące myśli i tak naprawdę nic nie mogę na to poradzić tylko myśleć i rozwiązywać pęczek po pęczku, aż dojdę do każdej z odpowiedzi. Czasem jednak nie wystarczy na to jedna noc. Zresztą każdy wie, jak to jest...

Leżę dalej to już chyba godzina, jak nie mogę zasnąć. Wszystko gra, bo przecież jest cicho w miarę wygodnie, ciepło i ciemno, więc czemu ja do cholery nie mogę spać? Zacząłem się wiercić i poszukiwać swojej pozycji, bo może o to chodzi. Może muszę ułożyć się na innym boku. Na moje wiercenie wierceniem odpowiedział Mietek, który zaczął mrużyć pod nosem, w końcu zniechęcony wstał i odchodząc ode mnie położył się kawałek dalej. Poszedł obrażony z nisko zawieszoną głową. Gdy powiedziałem do niego podenerwowany: „No i czego marudzisz?”, mruknął tylko coś po psiemu i położył się spać nie wdając się w dalsze mrużono-mówione rozmowy, a ja pozbawiony ciepła, którego dostarczał mi Mietek zostałem sam, coraz bardziej odczuwając chłód dzisiejszej nocy. Nie wiem co ze sobą począć. Wstałem drżąc z zimna, które jak prąd przeszło całe moje ciało. Niewątpliwie to jeszcze mocniej mnie rozbudziło. Opatuliłem się rękami. Podszedłem do kupki drewna. Wyjąłem z niej kilka patyków i wrzuciłem do przygasającego ogniska. Płomienie z początku uskoczyły od gałęzi, jakby przestraszone nagłym atakiem obcego, po chwili jednak pojedynczymi dotknięciami, zaczęły obmacywać drewno, a moment później zaczęły w całości je obejmować i trawić. Obserwując taką chwilę najlepiej jest zrozumieć, dlaczego ogień nazywany jest żywiołem. Chwilę poświęciłem przypatrywaniu się temu, jak płomienie chłoną drewno niczym drapieżnik pożera część po części ciało swojej ofiary. Stojąc obok ogniska wyciągnąłem w jego stronę ręce by je ogrzać. Gdy już nasyciłem się ciepłem poszedłem z powrotem do swojego legowiska i położyłem się. W końcu zasnąłem.

Obudziłem się rażony pojedynczymi promieniami słońca, które nisko nad horyzontem trafiało prosto w moją położoną na ziemi głowę. Przez chwilę starałem się unikać ciosów, ale gdy zauważyłem, że moja ucieczka przed tak wieloma agresorami jest daremna, postanowiłem wstać. Było gdzieś koło siódmej. Nie wyspałem się to było pewne, bo już przy pierwszych ruchach poczułem ból szyi, a gdy wstałem całe moje ciało strzyknięciami stawów, bólem mięśni, dało mi do zrozumienia, że odpoczynek, który mu zafundowałem nie był wystarczający. Gdy tylko podniosłem się ze swojego legowiska powstał Mietek,

który zawsze wiernie robił pierwsze kroki równo z moimi i tak przez cały dzień wędrował za mną krok w krok – to właśnie dlatego pies jest uznawany za najwierniejszego ze wszystkich zwierząt. Obróciłem się i spojrzałem na niego rozchylając niechętnie powieki. Powiedziałem spokojnym głosem:

- Coraz gorzej znosimy chłodne noce prawda staruszk?

Pies spojrzał na mnie i mrugnięciem oczu potwierdził moje słowa. Choć równie dobrze mogło mi się wydawać i tak naprawdę to mrugnięcie było tylko zwykłym zbiegiem okoliczności. W sumie wolę jednak myśleć, że to była jego odpowiedź na moje pytanie. Mietek przeciągnął się mrużąc. Wyraz jego mordki wskazywał na to, że rozciąganie powodowało ból. Gdy wyprostował się spojrzał na mnie, jakby pytał co teraz. Ja jednak robiłem swoje. Pochyliłem się nad beczką z wodą, która stała w okolicy mojego legowiska. W wodzie dostrzegłem swoje zarośnięte oblicze, które niczym nie różniło się od tego, które widziałem dnia poprzedniego. Miałem długie włosy, a praktycznie cała twarz miałem zakrytą ciemną brodą, którą co jakiś czas starałem się przycinać tak, żeby nie była za długa. Zanurzyłem ręce w wodzie i opukałem twarz. Zimna woda spływała między włosami na mojej twarzy. Orzeźwiła mnie i pobudzała do życia. Otrzeptałem reszki wody z pomiędzy włosów. Mietek widząc, że myje się, także zaczął swoją poranną higienę liżąc dokładnie, każdy element swojego ciała. Gdy skończyłem poszedłem w stronę namiotu, który nazywałem szałasem, bo w sumie był to zlepek wielu rzeczy takich jak plastikowa płyta, kilku metrowy kawałek tkaniny, która miała właściwości wodoodporne. Było tam jeszcze dość dużo folii, desek i gałęzi, na których wszystko było rozpięte i zamontowane. Cała konstrukcja przypominała kiepskiej jakości namiot. Było w nim dość dużo miejsca, a już na pewno wystarczająco, jak dla mnie i Mietka. Przed szałasem miałem ustawiony stół, który miał każdą nogę inną. Nogi znajdowałem kolejno, aż w końcu uczyniłem równo stojący stół. To przy nim zazwyczaj spożywałem posiłki, o ile takie udawało mi się załatwić. Ogólnie nie było, aż tak źle. W szałasie miałem wszystko czego potrzebowałem. Był tam stary, wyleżały materac i jeszcze kilka innych rzeczy, które każdy człowiek ma w domu. Wszedłem do szałasu i wyciągnąłem z niego kilka kromek twardego już chleba. Usiadłem przy stole i zacząłem jeść. Gryzienie suchego chleba jest dość pracobłonne - żeby go połknąć trzeba go bardzo mocno nawilżyć. Spokojnie robiłem to, bo przecież nigdzie mi się nie spieszyło. Mietek zadowolony się musiał resztką kości, którą wczoraj odnalazł i najwyraźniej jeszcze nie zjadł.

Gdy skończyłem jeść spojrzałem na mojego futrzaka. Ten nie zwlekając ani chwili wstał i podbiegł do mnie. Stał przede mną i zaszczekał swoim delikatnie ochryplym głosem. Było jasne jest już gotowy do codziennej wyprawy. Pośpieszany pojedynczymi szczęknięciami wstałem i zarzuciłem na plecy starą katanę. W rękę chwyciłem kilka foliowych toreb i ruszyłem w dół zbocza, na którym umiejscowione było moje schronienie. Przede mną biegł Mietek, który wykazywał radość, jak i pewnego rodzaju niepokój, który nakazywał mu węszyć swoim czarno-różowym(kolor skóry, jakkolwiek można go nazwać biały? różowy? w każdym razie taki) w każdym wzbudzającym jego niepewność krzaku lub zakamarku. Co jakiś czas zraszał drzewa swoim moczem. Widząc, jak mój pies kieruje się naturalnym instynktem - znaczy teren i robi jego obchód, dochodzę do wniosku, że razem stanowimy dwugatunkowe stado. Czasem jednak zastanawiam się kto jest jego przywódcą. Niby naturalne jest to, że ja nim jestem, ale jak widzę Mietka, który zachowuje się tak jak teraz myślę, że to on czuje się przywódcą. Być może obydwój na swój sposób mylimy się, ale najważniejsze jest to, że nasza wzajemna pewność nie zachęca nas do poszukiwania rozwiązania tego sporu. Po prostu trwamy razem. Śmieszne jest to, że mimo że psu już dawno skończył się znacznik, to mimo wszystko on nadal chodzi, podnosi tylną łapę do góry i sika. Czasem nawet do niego powiem złośliwie:

- Sikasz i sikasz, a nie masz czym.

I śmieję się głośno, ale futrzak nic sobie z tego nie robi, tak bardzo jest zafrasowany swoimi obowiązkami. Niewątpliwie w ten sposób najlepiej, jak to tylko możliwe uciera mi nosa i to chyba bardziej mi jest głupio, niż jemu. Wtedy dostrzegam, że śmiech, który wydobywa się z mojego gardła tak naprawdę odbija się od mietkowego zadka i wraca do mnie ze zdwojoną siłą. Naprawdę czasem myślę, jakby ten czworonóg był człowiekiem lub może to ja jestem bardziej psi.

Idziemy dalej. Między drzewami już widać pobliskie budynki osiedli, które kilka lat temu wyparły łąki falujące tu bezkarnie, ciesząc się nieograniczoną przestrzenią jaką zajmowały by istnieć, rozmnażać się i po prostu żyć. Teraz zamiast pięknych, żywych, falujących mórz trwa, stojące sztywno szare budynki, które ani drgną choćby nie wiem, jak mocny wiatr zawiewał. Wyszedłem z lasu. Stałem na druzce, która była pewnego rodzaju granicą między resztką lasu, a cywilizacją. Stąd widać było prawie całą pobliską aglomerację. Mimo, że żyłem w lesie i tam miałem swój dom, to nie da się ukryć, że uzależniony byłem od miasta, które jako jedyne, nawet swoimi odpadami mogło zaspokoić moje typowo fizjologiczne potrzeby. Dlatego też codziennie wyruszałem na wyprawę, która bez wątpienia można by nazwać polowaniem. Wychodziłem z drewnianego lasu do lasu syntetyków i betonu. W mieście czuję się bardzo niepewnie, z każdej strony obawiam się niebezpieczeństwa - chyba zbyt mocno zdziczałem. To już naście lat jak żyję z boku. Dobra dość tych rozmyślań czas iść wykonać swoją pracę i zorganizować jakieś pożywienie, bo jak nie to będziemy z Mietkiem głodować, a to mało jest wskazane biorąc pod uwagę nadchodzącą zimę. Druzka zaczęła przechodzić w asfaltową drogę, czyli już znajduję się na terytorium miasta. Przejdziemy, jak zwykle i przeszukamy dokładnie wszystkie kosze, choć ja wolę nazywać je moimi skarbcami, które ludzie mi sami zapełniają. Śmieszne, ludzie zapełniają moje skarbcce. Jestem niczym król. Wiem trochę to głupie, ale naprawdę często jest tam dużo przydatnych rzeczy, które bez wątpienia dla mnie są na wagę złota.

Tak, więc podszedłem do pierwszego skarbcza. Był pełny pewnie dlatego, że to początek tygodnia, a wtedy można najwięcej znaleźć. Już na dzień dobry koło śmietnika leżała torba z chlebem. Nie był taki zły nawet jeszcze miękki. Musiałem go przesegregować i oddzielić ten, który zarósł już grzybem od tego, który będąc w miarę świeży jeszcze mógł zaspokoić mój głód. Uzbierało się coś koło pięciu kromek. Resztę rozsypałem obok śmietnika wiedząc, że skorzystają z niego ptaki lub inne zwierzęta, które też czerpią dobro z dobrodziejstw mojego skarbcza. Można powiedzieć, że pożywienia dla nas wszystkich jest pod dostatkiem, a więc nie trzęsą mi się ręce, gdy mam się dzielić z innymi potrzebującymi. Otworzyłem klapę i zacząłem przeszukiwać blaszane wnętrza. Znalazłem kilka aluminiowych puszek, które są moim głównym źródłem dochodów. Zbieram je, a później sprzedaję w skupie. Zarabiam na tym swoje. Nie jest to dużo, ale i zajęcie nie jest jakieś wymagające dużego wysiłku szczególnie, że i tak robię to co robię każdego dnia. Pieniądze z puszek idą do skrytki. Zbieram te pieniądze na pewien cel, ale to tajemnica...

Widząc, że ten kosz jest już przejrany, ruszyłem w dół ulicy w stronę następnego śmietnika. Z reguły jest tak, że nie przeszukuję wszystkich śmietników, lecz tylko te, w których wiem, że znajdę dużo puszek, bądź jedzenia. Czyli mam tak, jakby swoje miejscówki. Podszedłem do kolejnego skarbcza, w którym zazwyczaj znajdowało się dużo puszek, bo był on umieszczony koło baru. Podniosłem klapę i podskoczyłem z przerażenia. Ktoś buszował w moim skarbcu i wybrał wszystkie puszkę. Byłem zły. Większość ludzi takich, jak ja przeszukuje kosze nocami wstydząc się tego co robią. Niektórzy też się boją. Nic dziwnego biorąc pod uwagę to, że reakcja ludzi na nas jest różna. Jedni krzyczą coś z reguły mało miłego. Inni uciekają bojąc się. Jeszcze inni są obojętni. W każdym razie bardzo rzadko zdarzy się ktoś kto zwyczajnie zagada i podejdzie do nas jak do ludzi, którymi mimo wszystko jesteśmy. Ja się nie wstydzę tego kim jestem. Tym bardziej tego co robię, bo przecież nie robię nic złego. Nie szkodzę

nikomu, staram się przeżyć i tyle. Nie śmierdę, a przynajmniej staram się zachować higienę. Choć i tak, jak przechodzę ludzie obchodzą mnie na około zatykając nosy, bądź patrząc z przerażeniem. Ja robię jednak swoje nie wdaje się w niepotrzebne dyskusje.

.....ciąg dalszy nastąpi.....

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

nicekk, dodano 17.03.2011 20:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.